

Szwecja – Kebnekaise

Cel – Kebnekaise (2117 m n.p.m.) – niezdobyty

Kiedy – maj 2009

Kto – Dziku & Marcin & Ala & Marek & Aga & Dagmara & Łukasz & Ewa

Tekst– Dziku

Zdjęcia – Ala & Dziku & Marek & Łukasz

– 2 V –

I znów podróż. Tym razem 1,5 tys. km cały czas w przepięknych sceneriach. Mijamy koło podbiegunowe i kierujemy się do Kiruny. Po drodze zwiedzamy na wpół roztopiony lodowy hotel i wieczorem jesteśmy w Nikkaluokta. Stąd rano ruszymy już pieszo 19 km pod Kebnekaise. Tzn. miało być 19 km, ale coś przekombinowaliśmy. Do przystani portowej było wszystko wg planu, a potem rozdzieleni na 2 czteroosobowe grupy brnęliśmy przez mokradła, potoki i śnieg po pas. W rezultacie marsz zajął nam prawie 12 h. Zrozumieliśmy wtedy, dlaczego pani pracowniczka schroniska była tak zaskoczona kiedy powiedzieliśmy, że chcemy się tam dostać na nogach. Każdy normalny Szwed korzysta z helikoptera, który przez cały dzień kursuje w tę i z powrotem. Teren był trudny ale pogoda piękna. Przed snem chcieliśmy jeszcze podsuszyć się przy ognisku ale wtedy zaczęło się. W 3 minuty totalna zmiana pogody. Zawiało raz i drugi, spadła kropla, potem druga i lunął deszcz. Do tego zerwał się tak silny wiatr, że noc spędziliśmy trzymając rurki od namiotu, ja za jedną, Marek za drugą. Stwierdziłem, że w ten sposób nawet da się spać.

– 3 V –

Rano zakładamy mokre buty i ruszamy na górę. Niestety warunki są kiepskie. Szczyt cały w chmurach. Walczymy jednak ostro i

mimo zerowej momentami widoczności docieramy do schronu, który jest tuż pod szczytem. Tu przeżywam niemały zgon, jednak makrela i czekolada stawiają mnie na nogi. Reszta trzyma się bez zarzutu. Od schronu pozostaje już naprawdę niewielki odcinek do szczytu, jednak nie udaje się nam pokonać go całego. Warunki są tak złe, że po kilkunastu minutach postanawiamy zawrócić. Decyzję o wycofaniu podjęliśmy jakieś 15 minut drogi od szczytu. Nikt z nas jednak nie chciał pokonywać tych ostatnich kilkudziesięciu metrów przewyższenia na ślepo, a chmury nie chciały się rozwiać nawet na parę sekund. Może tyle by wystarczyło by zlokalizować cel. Późnym wieczorem wracamy do namiotów gdzie czeka już na nas jedzenie i herbatka, przygotowane przez Agę.

– 4 V –

I znów do przejścia te feralne 19km. Tym razem jednak jest o niebo lepiej. Warunki przez te dwa dni bardzo się poprawiły, dużo śniegu stopniało i całą trasę pokonujemy w jakieś 8h. Pogoda tego dnia znów była piękna a szczyt swym widokiem w całej okazałości próbować drażnić nas zza pleców. Nie zauważyłem jednak, by ktokolwiek się tym przejmował i w doskonałych humorach wróciliśmy do samochodów.

– END –

Dziku













Słowacja i pierwsze starcie z Gerlachem

Cel – Gerlach (2654 m n.p.m.) – niezdobyty

Kiedy – grudzień 2008

Kto – Dziku & Marcin & Ala & Kajetan

Tekst– Dziku

Zdjęcia– Ala & Dziku













Piątek wieczór – debatujemy nad opisami w przewodniku i możliwymi drogami wejścia. Z debaty wynika tyle, że powinniśmy wcześniej wstać.

Sobota – budzik miał zadzwonić o 2:00 w nocy ale nie zadzwonił. Nie zawiódł za to kot, który o 2:05 podchodził do każdego z nas i trącał pyszczkiem póki nie wstaliśmy.

Parę godzin jazdy samochodem i jeszcze przed wschodem słońca ruszamy z plecakami do góry. Po paru godzinach torowania w głębokim śniegu docieramy do miejsca, w którym rozbijamy namioty i odpoczywamy. Zjadamy zamrożone kanapki i owoce, wypijamy napoje przełykając kawałki lodu. Potem wykorzystując resztę dnia wyszliśmy na rekonesans jutrzejszej drogi. Był to niezmiernie miły spacer, ale z rekonesansu wynikło tyle ile z debaty z poprzedniego wieczoru – czyli nic.

Późniejszym popołudniem chowamy się do namiotów gdzie panuje temperatura niezbyt przyjazna więc kładziemy się w śpiworach. Soki zamarzły już zupełnie więc topimy śnieg i gotujemy herbatę. W nocy temperatura spada do -15 stopni. Żeby jak najmniej narażać się na mróz urządzam sobie w śpiworze norę – takie M1. W nogach mam coś w rodzaju spiżarki, w centralnej komorze pokój dzienny, a w kapturze toaletkę (ale nie WC!). Do rana nagromadziłem tam tyle rzeczy że zaczynało brakować dla mnie miejsca.

Niedziela – korzystając z wiedzy wynikającej z piątkowej debaty i sobotniego rekonesansu przeprowadzamy atak szczytowy.

Dochodzimy do miejsca na grani, skąd wyraźnie możemy dojrzeć oblodzony krzyż na szczycie. W chwili odwrotu znajdujemy się niemal na jego wysokości ale wciąż dzieli nas od niego około 100-metrowy odcinek grani. Więc dlaczego główny cel niezdobyty skoro był tak blisko? Myślę, że zejście o rozsądnej porze, w dobrym humorze, z pięknymi widokami w zachodzącym słońcu było dla nas zdrowsze i przyjemniejsze niż „klepnięcie” wierzchołka i ewentualne problemy wynikające z zapadnięcia zmroku. Cóż, miał to być nasz kolejny szczyt Korony Europy, taki na zakończenie „sezonu”, ale jest coś więcej – wielce pozytywne nastawienie i zapał by w następnym roku (czyli już od jutra!) realizować kolejne plany.

– END –

Liechtenstein – Grauspitz

Cel – Grauspitz (2599 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – październik 2008

Kto – Dziku & Michał & Marek & Robert & Ala & Paweł & Ola & Ania

Tekst– Dziku

Zdjęcia– Dziku & Ala











12 h podróży, 3 namioty, 2 auta, 8 opon, 6 wycieraczek, 8 osób, 7 karimat, 5 mężczyzn, 3 kobiety... i 1 najważniejszy cel: Grauspitz.

Na szczyt ten – najwyższy w Liechtensteinie – nie prowadzi żaden szlak. Mimo niedużej wysokości czuliśmy duży respekt. Ostre i kruche granie, krótki dzień i tylko kilka znalezionych opisów wejścia, z czego niektóre w stylu:

In my opinion, a pair of competent climbers, with ropes and protection, are required to reach the Grauspitz. It has „razor” ridges to the east and west, and walls to the north and south. I think a roped team with protection can make it from the south, via the Schafalpli Bowl, or roped along the „razor” ridges on the east or west. In my opinion, the Grauspitz has no summit cross in order to keep climbers away. The Grauspitz is a serious mountain despite its „low” elevation.

Na szczęście wyprawa zakończyła się sukcesem, ale o trudnościach może świadczyć chociażby księga wejść na szczyt – poprzedniego wpisu dokonano 1,5 miesiąca przed nami, a sama księga została założona w 1992 roku i do 2008 ciągle jest w

niej dużo wolnego miejsca.

Dzień 1

Na noc docieramy do miejsca zwanego Sucka położonego na wysokości 1373 m. Wszędzie nierówno. W końcu rozbijamy namioty na wzgórzu służącym jako pastwisko. W ciemnościach ślizgamy się na krowich gówieńkach. Czujemy że są wszędzie, że nas otaczają (gówieńka bo krowy już spały), ale jest tego pozytywna strona – będzie w nocy miękko.

Dzień 2

Moja zdolność, a właściwie niezdolność do czytania cudzych opisów wejść doprowadza nas do martwego punktu. Mimo że właścicielka schroniska (jedyna osoba napotkana tego dnia w górach) powiedziała że tędy „nach bank” nie wejdziemy to my stwierdziliśmy że wiemy lepiej. Napaleni weszliśmy na Naafkopf (2571) po czym... zatrzymaliśmy się na grani nad pionowym uskokiem – nie do pokonania. Podrapaliśmy się po główkach i postanawiamy wracać. Wstępujemy znów do schroniska i mówimy do Pani „yyy no dobra nie da się”. Nie odpuściliśmy jednak do końca i jeszcze tego samego dnia we mgle, deszczu i przeszywającym zimnie wchodzimy na Schwarzhorn (2574). Z tego szczytu już w zapadającym zmroku z chmur na chwilę wyłania się Grauspitz – jest tylko ok. 500 metrów od nas! Ten wypad posunął nas o spory krok do przodu. Już wiemy że jutro właśnie tędy będziemy podchodzić. Wracamy już w kompletnych ciemnościach, i co gorsza – przemoczeni i zmarznięci. To powoduje że robimy coś zupełnie dla nas nowego – zamiast wpakować się do namiotów nocujemy w pobliskim pensjonacie. Szok.

Dzień 3

Jak się okazało, tej nocy był pogodowy przełom. Warunki jesienne z dnia poprzedniego ustąpiły warunkom zimowym. I bardzo dobrze – nie zabłocę stuptutów. Wchodzimy ponownie na Schwarzhorn. Tym razem w 6 osób. I tym razem dookoła nas

ośnieżone szczyty, piękna pogoda i dobra widoczność. Decydujemy się trawersować do grani łączącej Schwarzhorn z Grauspitzem. Potem granią i poniżej niej do samego celu. Dwoje z naszej szóstki odpuszcza. Na widok grani, na której jest miejsca akurat na kopytka kozic stukają się w głowę. Pozostała czwórka stosując zaawansowaną technikę asekuracji polegającą na balansowaniu ramionami posuwa się dalej. Powoli zbliżamy się do pierwszego wierzchołka Grauspitz. Potem jeszcze dosyć niebezpieczny moment – siodełko z nawisem – i stajemy na szczycie. Jupi!

– END –

Polska – Rysy

Cel – Rysy (2499 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – sierpień 2007

Kto – Dziku & Przemo & Uła

Tekst– Dziku

Zdjęcia– Dziku













Przemek, z którym byłem na zimowym kursie w Tatrach zaprasza do Zakopanego. Spędzają tam z Ulą urlop. Oczywiście nie mogę się oprzeć pokusie dorzucenia kolejnego, szóstego już szczytu do mojej Korony Europy. Miesiąc temu byłem na Ukrainie, a za parę tygodni wybieram się do Niemiec, więc miałbym na ten rok plan wykonany. Bo tak sobie postanowiłem, by w miarę możliwości zdobywać 3 szczyty rocznie.

Przyjeżdżam do Zakopanego w piątek, w sobotę wchodzimy do Morskiego Oka i ruszamy na szczyt. Widoków niestety nie doświadczyliśmy. Było mgliście i paskudnie zimno. Bliżej szczytu temperatura spadła poniżej zera, pomimo, że jest środek lata. Całą trójką wchodzimy na najwyższy szczyt Polski. Jest to mój nr 6. Cieszę się i już nie mogę się doczekać kolejnej przygody, bo już za 2 tygodnie będę próbował swoich sił w Alpach.

Jeszcze tego samego dnia wracam pociągiem do domu.

– END –

Słowenia – Triglav

Cel – Triglav (2864 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – czerwiec 2008

Kto – Dziku & Michał & Marek & Tomek

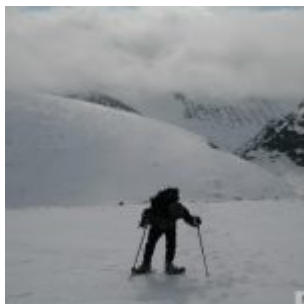
Tekst i zdjęcia– Dziku











Chorwacja – Dinara

Cel – Dinara (1830 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – maj 2008

Kto – Dziku & Marcin & Martin & Ala

Tekst– Dziku

Zdjęcia– Dziku & Marcin & Ala & Marek











– 02 V –

Po Serbii, Kosowie i Czarnogórze odkryliśmy bonus level – Chorwacja. Po przeżyciach z ostatnich dni cena w aptece kremu do opalania (15 euro – zapłaciliśmy), zatrzymanie przez policję (45 euro – obyło się bez płacenia), żmija na szlaku (bezcenna) i inne wrażenia to już tylko dopełnienie do przeżytych przygód.

Podsumowanie tej niezapomnianej tygodniowej bałkańskiej wyprawy: wyjątkowi ludzie, wyjątkowe klimaty, udana pogoda, przepiękne góry i wiele wiele innych.

– END –

Czarnogóra – Zła Kołata

Cel – Zła Kołata (2534 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – kwiecień 2008

Kto – Dziku & Paula & Ada & Marek & Arek & Marcin & Martin & Ala

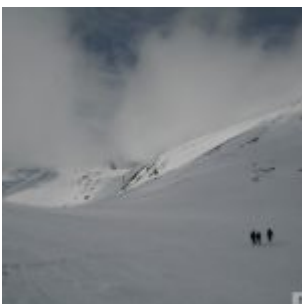
Tekst– Dziku

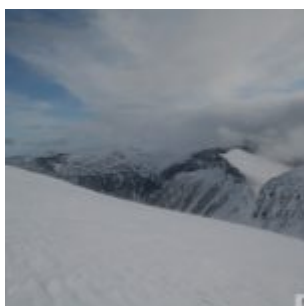
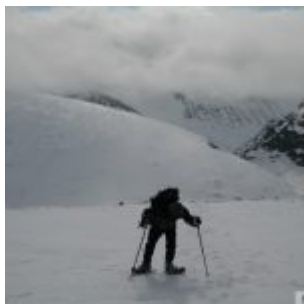
Zdjęcia– Dziku & Marcin & Ala & Marek











– 29 IV –

Rano opuszczamy „naszą” kosowską zieloną polankę i jedziemy do Czarnogóry. Na miejscu meldujemy się na posterunku czegoś w rodzaju policji granicznej. Nie przeszkadza im to, że udajemy się na samą granicę z Albanią i nawet pozawalają zostawić auta na ich zamkniętym parkingu. Martin jak zwykle się nie krępuje (jesteśmy po paru kosowskich i czarnogórskich browarkach) i idzie do ich siedziby naładować komórkę i aparat.

Potem szybkie pakowanie i w góry. Zauważyłem u siebie kompletną niezdolność do pakowania po paru piwach. Plecak ważył chyba niewiele mniej niż 30 kg i jak się potem okazało

to tylko kamieni z poprzednich szczytów nie zabrałem ze sobą. Ale ilość kg na plecach była proporcjonalna do dobrego humoru więc spoko. W każdym razie kiedy ja, Martin i Ada dotarliśmy na miejsce to namioty reszty towarzyszy już od jakiegoś czasu stały.

– 30 IV –

Wstajemy rano i ruszamy na szczyt. Początkowo czerwonych znaków napaćkane co pare kroków. Po dojściu do przełęczy widzimy jeszcze parę czerwonych kresek, napis 'stop' na kamieniu oraz mniej więcej na granicy z Albanią wbity patyk. I tyle. Dalej improwizacja i szukanie drogi. Byle pod górę. Po paru godzinach docieramy na szczyt zapewne Kolaty. Tylko czy dobrej czy złej? Zła Kolata jest o 6 metrów wyższa od Dobrej ale my nie jesteśmy pewni na której jesteśmy. Nie jest to jednak dla nas jakiś wielki problem. Wszyscy szczęśliwi, szczególnie że cała nasza ósemka się tam wdrapała. Strzelamy foty przy kopczyku i schodzimy na dół. Po drodze zwijamy namioty. Pogoda piękna. Krajobrazy jakie towarzyszyły przy schodzeniu do wioski były niesamowite. Po dotarciu do aut ruszamy nimi w dalszą drogę.

Nockę spędzamy na polance przy drodze. Gdzieś gdzie nas wieczór zastał. Namiot, ognisko, piwa z 2 litrowych plastikowych butelek i widok na piękne góry.

Kosowo – Djeravica

Cel – Djeravica (2656 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – kwiecień 2008

Kto – Dziku & Paula & Ada & Marek & Arek & Marcin & Martin &

Ala

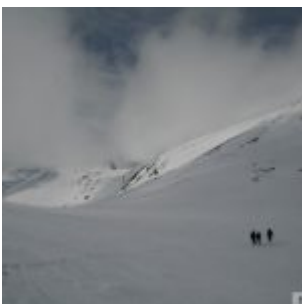
Tekst– Dziku

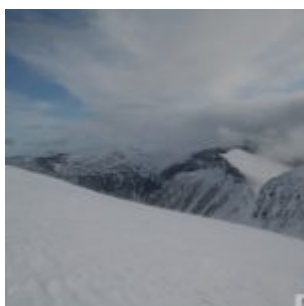
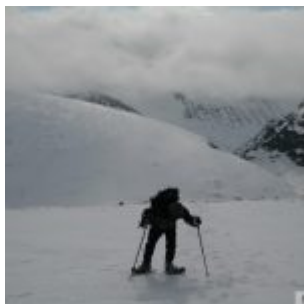
Zdjęcia– Dziku & Marcin & Ala & Marek











– 27 IV –

Rano ruszamy w kierunku Kosowa. Większość drogi spałem. Obudziło mnie gwałtowne hamowanie. Otwieram oczy i widzę twarz serbskiego policjanta. Patrzę w drugą stronę – stoi koleś z kałachem. Paredziesiąt metrów przed nami wojskowe auto z napisem KFOR (Kosovo Force) i... czołg. Okazało się że chcieliśmy przejechać granicę Serbia/Kosowo bez przystanku. Kierowca się zamyślił. Na początku chcieli żebyśmy zapłacili za niezatrzymanie się ale odpuścili. Po sprawdzeniu dokumentów podjechaliśmy do celników z Kosowa. Tu musieliśmy zapłacić 50 euro od auta za jakieś ubezpieczenie. Wyglądało fachowo, nad okienkiem wisiał cennik, w okienku ładnie ubrany pan, papier

jakiś specjalny ze znakiem wodnym.. Martin bez skrępowania podszedł do celników i zapytał czy może sobie zrobić zdjęcie z czołgiem. Pozwolili mu więc wszyscy zrobiliśmy sobie sesję. Żadnych problemów, uśmiechy, pomachali nam i już jesteśmy w Kosowie.

W stolicy – Pristinie – dużo białych pojazdów z literkami UN. Mijający nas na sygnale konwój z wozem pancernym i zamaskowanym żołnierzem wystającym z dachu robił wrażenie.

Na ulicach mały chaosik. Każdy jeździ jak chce. Na rondach chyba panowała zasada: „przed rondem zamknij oczy i wjeżdżaj dobrze rozpędzony”. Zaskoczyła nas też powszechna znajomość języka niemieckiego lub angielskiego u miejscowych.

Dojechaliśmy do Decani. Jeszcze tylko przejazd przez włoską bazę NATO. Podobne widziałem na filmach. Mijamy betonowe zapory, bunkry , szlabany i budki z ostrzelanymi pancernymi szybami. Potem 12 km „very good road” przez las i zakładamy na polanie obóz.

– 28 IV –

Przed 7 rano ruszamy na Deravicę. Przez następne parę godzin buszujemy po lesie, przedzieramy się przez krzaczory, raz za razem przekraczamy potoki, wspinamy się po stromych piarżystych zboczach i zastanawiamy się czy na pewno żołnierze z KFOR-u wydłubali w ostatnich latach wszystkie miny zakopywane tu przecież tak niedawno.

Jako że kompletnie improwizowaliśmy z wyszukiwaniem drogi na szczyt dostarczyła nam ona niemało emocji. Na koniec okazało się że z 2 stron do szczytu prowadzą łagodne granie. No cóż, my wybraliśmy naprawdę strome podejście ale przynajmniej były dodatkowe wrażenia. Po około 6,5 h najwyższy szczyt Kosowa zdobyty. Pobyt na górze i zejście zabrało w sumie drugie tyle czasu bo się trochę poleniliśmy na zielonej polance przy linii lasu.

W nocy jeszcze siedzenie przy ognisku i kąpiel w lodowatym strumieniu. Żał opuszczać takie miejsce. Ale nie ma litości – jutro rano jedziemy do [Czarnogóry](#).

Serbia – Midžur

Cel – Midžur (2168 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – kwiecień 2008

Kto – Dziku & Paula & Ada & Marek & Arek & Marcin & Martin & Ala

Tekst– Dziku

Zdjęcia– Dziku & Marcin & Ala & Marek











Wieczorem pakujemy się do Ali srebrnej strzały i ruszamy. Po drodze jeszcze przystanek na jabłecznik babci i około północy opuszczamy Bielsko Białą. O 7:00 rano już przekraczamy granicę z Serbią a o 15:00 dojeżdżamy do Babin Zub. Jest to jedno z miejsc wypadowych na Midžura – najwyższy szczyt Serbii położony w górach Stara Planina na granicy z Bułgarią.

Z marszu, zagryzając po drodze kabanosy od mamy, lecimy na górę i po 2 h stajemy na szczycie. Trasa łagodna, nie wymagająca sprzętu. Przy większej ilości śniegu na pewno przydadzą się stuptuty. Idzie się głównie drogą. Przy dobrej widoczności nie powinno być żadnych problemów. Pod koniec poszlismy trochę „na czuja” schodząc z drogi prosto w górę i wleźliśmy idealnie na słupek oznaczający szczyt. Z tego co widziałem (większość widoków przesłaniały chmury) to od strony Bułgarskiej jest bardzo stromo.

Już w ciemnościach wracamy na parking, trochę niżej znajdujemy polankę, rozkładamy namioty, jedzonko i idziemy spać. Jutro ruszamy do [Kosowa](#).

Polska – Rysy zimą

Cel – Rysy (2499 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – luty 2008

Kto – Dzik & Damian & Krzysiek

Tekst– Dzik

Zdjęcia– Dzik











No to tak: sobota, godz 2:45 rano/w nocy pobudka, wsiadamy w Wiewiórkę i walimy do Palenicy. Tam zostawiamy auto i ruszamy z plecakami na górę. Ciągłe nie wiemy co będziemy tego dnia robić ani gdzie spać ponieważ pani w schronisku Morskie Oko zapewniła w piątek że miejsc nie ma i orzekła, cytuję: „nie zapraszam panów”. Wrrr.

Po drodze jednak natykamy się na drogowskaz: Schronisko Roztoka → 15 min gdzieś tam w las. No to idzimy tam zobaczyć czy czynne bo niedawno w remoncie było. No i git. Czynne. Dostajemy klucz od pokoju. Zostawiamy graty (śpiwór, karimata, prostownica do włosów, kosmetyczka – to się nie przyda za dnia w górach) i ... siadamy i sobie gadamy. No bo gdzie będziemy iść jak pada deszczosnieg i w ogóle pogoda z d...

Więc trochę pomarudziliśmy po czym ruszyliśmy znienawidzoną drogą do Morskiego Oka. Przy wyjściu z Roztoki jeszcze pani schroniskowa zapytała dokąd idziemy. Pozwoliłem sobie żartować lekko beztroskim tonem: „Aaa najpierw na Rysy a potem zobaczymy..”. A w schronisku nad Morskim? Rozsiedliśmy się przy stole z widokiem na Rysy i otworzyliśmy po browarku. Uradziliśmy że zrobimy sobie mały spacer. Np. do Czarnego

Stawu. Zobaczymy jak warunki, czy szlak przetarty, czy lawiniasto, cokolwiek.

I tak zerkając przez okno patrzymy a tu słoneczko wychodzi i przyjemnie się jakoś robi. No to dokończyliśmy browarka i ok 11:15 ruszyliśmy przez zamrożone jezioro. Po dojściu do Czarnego Stawu postanowiliśmy pójść na jego drugi brzeg. A bo ładnie zamrożone to weźmiemy i je 'rozdzielimy' bo widać że nikt dziś nie szedł. Następnie ruszyliśmy do góry wytyczając za cel jakąś skałę. A potem jeszcze kawałek. A że to już była zaraz (ponad 2 tys m n.p.m.) a do zachodu jeszcze trochę czasu no to jeszcze kawałek. Oczywiście o zdobywaniu szczytu mowy być nie mogło no bo przecież plan był jasny: w dzień w który wchodzimy na Rysy wychodzimy ze schroniska o 6 rano. A nie o 11.

Wreszcie stwierdziliśmy że nie ma się co oszukiwać. Dla mnie to szczyt był blisko – za blisko żeby wracać. Krzysiek stwierdził że ta droga jest jakaś stroma i że jutro już mu się nie będzie chciało tu wchodzić. A Damian jakoś ani przez chwilę nie próbował nas od zamiaru odwodzić.

No i poleciliśmy z wiatrem na górę. Bułę ominęliśmy szerokim łukiem bo „tam siada psycha” i o 14:40 stoimy na najwyższym szczycie Polski. Od schroniska zajęło nam to 3,5 h. Jeśli się nie mylę to czas o 45 min krótszy od tego letniego jaki jest na tabliczce. Trochę posiedzieliśmy na górze i następnie ekspresowe zejście.

Całość: Schronisko w Moku -> Rysy -> Schronisko w Moku – 5h. Pozwoliły na to fajowe warunki pogodowe. Wprawdzie w rysie mocno wiało ale... idealnie w plecy. Jak się wyprostowało przy podmuchu to tak jakby ktoś do góry popychał.

Wyjazd krótki i efektywny!

Ps1. Zapomnieliśmy odebrać medali z automatu w Moku. W końcu wszyscy zmieściliśmy się na podium. Trzeba będzie wrócić...

Ps2. Z Wikipedii:

„Styl Broalpejski – Jeden ze stylów zdobywania szczytów zimą. Polega na czekaniu do ostatniej rozsądnej pory na wyjście na górę. Czas oczekiwania należy spędzić w najbliższym schronisku popijając obojętnie jaki napój byleby piwo. W ilości nie mniej niż jedno i nie więcej niż jedno na członka grupy. Potem wszyscy zgodnie udają się w kierunku szczytu, po drodze zapewniając się wzajemnie że zdobycie go jest oczywiście niemożliwe, bo jest już za późno. Po wejściu na szczyt i nacieszeniu się widokami należy bezzwłocznie udać się na dół i znów napić się piwa w ilości tym razem dowolnej. Styl ten prawdopodobnie stosowany od dziesiątek lat został nazwany i zdefiniowany na Rysach (2499 m n.p.m) w roku 2008 przez trójkę wspinaczy polskiego pochodzenia”

– END –

Grecja

Jak się dostać z Halkidiki w najwyższe pasmo górskie w Grecji – Olimp? Trzeba znaleźć inne na tyle podobnie do nas stuknięte osoby, które wynajmą wspólnie z nami samochód i wstaną w dzień wyjazdu o 4 rano. Wyjazd ok. 4:45. Na miejscu, czyli w Prioni (1100 m n.p.m) byliśmy przed 8 (z przerwami na kawę, niegroźne zabłądzenie w Litochoro i wschód słońca na Riwierze Olimpijskiej).

O 8 wyruszamy na szlak. Po 2 h marszu stromą drogą pod górę dochodzimy do schroniska Spilios Agapios (2100 m). Schronisko bardzo duże, komfortowe, z korzystnymi cenami, właściwie to taniej niż na stacji benzynowej przy autostradzie, a nie sądzę by na stację towary dowożone były osiołkami. Wprawdzie za spożywanie własnego posiłku czy nawet wypoczynek należy zapłacić w nim 1,6 €, ale by być zwolnionym z opłaty wystarczy

coś zamówić w barku (herbata 1,2 €). Po ilości ludzi w nim nocujących wnioskuję, że nie tylko my mamy o nim dobrą opinię. Odpoczynek i posiłek zabierają nam ok. 50min.



Mapka

Po tym długim odpoczynku ruszamy na kolejny odcinek wiodący do szczytów. Droga prowadzi cały czas stromo pod górę. Widoki są coraz bardziej groźne i surowe, a coraz rzadsze drzewa ustępują miejsca gołym skałom. Ciągłe mam wrażenie jakby goniła nas „pierzyna” z chmur, która z każdą godziną jest coraz lepiej widoczna. Ku rozpaczy Bartka, który ma lęk wysokości, szlak momentami prowadzi przy samej krawędzi przepaści. Wpada on nawet na pomysł „kaptura dla alpinistów z lękiem wysokości”. Kaptur ten miałby kształt czegoś w rodzaju rury, która pozwalała by im zobaczyć drogę tylko tuż przed nimi. Na daną chwilę powstał prototyp – turban z koszulki. Ostatnie pędziesiąt metrów w górę i po około 3 h marszu od

schroniska stajemy przy miejscu nazwanym Skala (2866 m.) Doskonale widoczne z niego są szczyty Mitikas (2917 m) i Skolio (2911 m). Tutaj postanawiamy się rozdzielić. Onetka, Bartek i Gosia ruszają na Skolio. Ja decyduję się na Mitikas. Ostatnie 40 minut drogi na najwyższy szczyt Grecji to rzeczywiście „climbing”, co słyszeliśmy od kilku turystów mijanych po drodze i w co nie wierzyłem do ostatniej chwili. Przebieranie rękami i nogami po skałach, po takiej męczącej wędrówce jaką odbyliśmy w ostatnich godzinach to sprawa dosyć niebezpieczna. Przypominała o tym tabliczka na skale kilkanaście metrów pod szczytem upamiętniająca jak sądzę tegoroczny śmiertelny wypadek w tym miejscu.



Tuż pod szczytem Mitikas

Adrenalina i otaczające widoki powodują, że nawet nie zwracam większej uwagi na namalowane znaki na skałach (zresztą nie do końca zacząłem dla czego do oznaczenia drogi użytych jest

chyba z siedem różnych namalowanych kształtów) dlatego też często zbliżam się do samej krawędzi grani.

Mitikas zdobyty. Nogi mi się trzęsą jak galareta ale poza tym czuję się świetnie. Widoki imponujące a wrażenie potęguje to, że stoję na szczycie zupełnie sam. Trochę poskakałem po skałkach a przy robieniu fotek dojrzałem Bartka, Onetkę i Gosię wychodzących na tylko 6 metrów niższy Skolio.



Widok na Skolio z miejsca zwanym Skala

Z żalem zabieram się w drogę powrotną. Jeszcze pół godziny i bardzo przyjemna niespodzianka. Moi ziomale czekają na mnie w miejscu, w którym się rozdzieliliśmy, chociaż mogli ze „swojego” szczytu zejść krótszą drogą do szlaku prowadzącego do schroniska, gdzie mieliśmy się spotkać. W drodze powrotnej spotykamy ciekawego kołesia. Ubrany w krótki rękawek i spodenki, jedynie z 0,5 litrową butelką wody mineralnej BIEGŁ na Mitikas. Po krótkiej rozmowie i uzupełnieniu mu zasobów

wody (my wyruszyliśmy z 14 litrami wody, z czego wypiliśmy niewiele ponad połowę) facet pobiegł dalej. Parę godzin później facet mijał nas biegnąc na dół. Tym razem oprócz butelki wody miał w ręce kamień ze szczytu. Zatankowaliśmy mu butelkę ponownie a on sam powiedział: „będę jutro potrzebował lekarza, a znajomi nawet twierdzą, że potrzebuję lekarza ale od mózgu”. Jeśli dobrze pamiętam to cała akcja od parkingu po szczyt i z powrotem zabierała mu 6 h (wg przewodników potrzeba dobrej kondycji i co najmniej 7 h w jedną stronę!).



Wracamy w znakomitych humorach. Pada tekst, że jedyne mięśnie jakie nas będą na drugi dzień bolały to mięśnie brzucha od śmiechu. Na dole jeszcze ostatnie spojrzenia na góry oświetlone zachodzącym słońcem i ta sama myśl: „Ale my jesteśmy powaleni”, no bo w końcu nieczęsto pokonuje się w parę godzin trasę z nadmorskiej plaży czyli niemal 0 m n.p.m. w góry o wysokości prawie 3000 m n.p.m., z czego ponad 1800 m

przewyższenia to piesza wędrówka. Do Prioni doszliśmy ok. 18:40 i pojechaliśmy zwiedzić Litochoro (panuje tam prawo, że wszystkie domy muszą być wybudowane w tym samym stylu – bardzo ładne miasteczko z klimatycznymi sklepami). Na 22:30 wracamy do Pefkohori i idziemy na zasłużone piwo i pizzę!

Dziku



Rumunia – Mołdoveanu

Cel – Mołdoveanu (1343 m n.p.m.) – zdobyty

Kiedy – lipiec 2006

Kto – Dziku & Andy & Iza & Aga & Mike

Tekst– Dziku

Zdjęcia– Andy, Dziku, Aga







